









FELIKS PŁAŻEK  
EIRENE





FELIKS PŁAŻEK

# EIRENE

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA  
WE LWOWIE, 1907.

LIBRERIE

Odbitka z »Przeglądu Polskiego«.



5058  
BIBLIOTEKA  
JAGIELLOŃSKA  
ul. Jagiellońska 10  
31-046 Kraków

ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE  
1907.



OSOBY:

EUMOLP.

ERECHTEJ.

ATESSA.

PANDION.

DRYAS.

ARKAS.

FOKAS.

WOJOWNICY ATEŃSCY i ELEUZYJSCY.

---

13180

13180  
13180  
13180  
13180  
13180  
13180  
13180

YOSYNEKKA I YOSYNEKKA YOSYNEKKA

*(Wnętrze dworca króla ateńskiego Erechteja. W głębi wrota spiżowe zamknięte. Pośrodku szeroki głaz, na nim ogień dogasa. Półmrok. Pandion stoi nad ogniem i patrzy w zgliszcza. Wchodzi Arkas).*

ARKAS.

Co czynisz?

PANDION.

Jak widzisz, beczynny stoję,  
— więc niech się w tobie duch raduje.  
Stoję i patrzę w ogień, jak dogasa  
powoli. Chciałbyś w myśl mą wniknąć? Ot!  
Patrzę: a smutna myśl za wzrokiem idzie,  
smutna, jesienna myśl tuła się, wlece.  
Patrzę w ogień, jak jeszcze wciąż konając  
drży, jak się broni przed zgonem.

*(Podniósł głowę; w głosie brzmi teraz tłumiona energia).*

Wszystko chce żyć! *(umilkł).*

Ty podchwytyjesz słowa me i potem  
wiązesz je i domysły tworzysz: wolę  
zamilknąć.

ARKAS.

Gniewnyś?

PANDION.

Gniewny nie jestem, jenom zamyślony  
nad dolą własną i nad dolą — tylu....

ARKAS.

Dokończ.

PANDION.

Bieg moich myśli śledzisz, ty domyślny:  
wiesz, co rzec chciałem. — Lecz powiem, rzec muszę:  
Źle mi tu jest, źle mi w tem waszem kole.  
Odejdę.

ARKAS.

Dokąd pójdziesz?

PANDION.

W świat. Za morze.

Do cudzych krajów. Daleko, daleko  
rozpina się niebios głęboki sklep.  
A przeszkód żadnych nie znam. Pójdę...

ARKAS.

Król ojciec stroskan jest o ciebie.  
Sam już się chyli ku ziemi,  
przywalon mnogiemi troskami.  
Więc nie chce puścić cię od swego boku.  
Wie, że mu przyjdzie niebawem  
zasnąć wiecznym snem  
i odejść do krainy czarnej,  
gdzie nań czekają ojce —

PANDION (*przerywa*).

Nie puszcza mnie. Ale jam wolny. Oto  
mógłbym pójść teraz w gaj, potem przez łąkę,  
wzgórzami, dalej, dalej...  
Żadna straż nie śmie mnie powstrzymać,  
mnie, syna królewskiego.  
I takbym odszedł, odszedł od was wreszcie.

*(po chwili)*

Sam sobą gardzę, gdy pomyszę jeno,  
że mi sił braknie na — postanowienie.

ARKAS.

Tak ci więc źle tu jest w ojcowskim dworze ?

PANDION.

Źle mi!!!

Mój świat jest inny całkiem od waszego świata,  
 świat, gdzie Eirene panią,  
 jaśniejszy jest, słońce tam lśni, jakiego  
 wy nie widzieliście w snach najpiękniejszych,  
 i wiatr tam wieje wolny,  
 przywiewa wonie cudownego kwiecica,  
 kwiecica, co kwitnie jeno tam, w tem słońcu,  
 jeno w tym kraju — daleko.

Mój ojciec walczy z władcą sąsiedniego kraju,  
 który miłuje pokój, nie chce zwady,  
 bowiem duch jego wzniosły.

Wydarliście zieloną tę krainę  
 mieszkańcom, co od wieków tu spokojnie  
 siedzieli.

Wciąż dalej patrzy oko waszej żądy  
 ku dalszym łupom, ku dalszym zdobyczom,  
 nienasycone wciąż, nęczone bogactw blaskiem.

Nieznany wam piorunny natchnień szal,  
 który rozpiera pierś szczęściem olbrzymiem,  
 który ku gwiazdom wiedzie i za gwiazdy.

Lecz cóż ja mogę wiedzieć,  
 ja, który nie mam tyle mocy ducha,  
 by otrząść wszystko to i odejść.

ARKAS.

Poczekaj jeszcze rok, może dwa lata,  
 a będziesz sam.

PANDION.

Ja nie chcę dłużej czekać.

Lękam się, by i mnie nie ogarnęła  
 potężna fala ta i nie porwała  
 w wir, skąd się nigdy już nie wydobęde.

ARKAS.

A jednak —

PANDION.

Tak. Masz słuszność: jestem nędzny.

*(w zamyśleniu)*

Jakby w snu mgłę błękitnej  
 widzę on dawny czas,  
 któregoś wszak nie widział nigdy,  
 kiedy Eirene pośród złotych smug  
 słonecznego blasku szła  
 i szczodłą ręką siała  
 wokół wonne kwiaty szczęścia.

Gdzie on czas?

A za nią postępował  
 młodzian Apollon o grzywie ognistej  
 z twarzą promienną;  
 i w cieniu czarnych cyprysów  
 przystawał,  
 i przymknąwszy powieki,  
 na lutni złotej grał.

Rzesza milcząc słuchała,  
 i czuli wszyscy,  
 że w chwili onej są bogami,  
 i długo jeszcze milczeli,  
 gdy granie już przebrzmiało.

A słońce grzało.

Gdzie on czas?

Oto te dźwięki dziś zgłuszyła wrzawa,  
 kwiaty zdeptane — powiędły,  
 i władnie wszędzie ciemń.

ARKAS.

W dalekie wieki patrzysz okiem ducha.

Czas on nie wróci już,  
 pozostał w dali po za nami,

daremna twa tęsknota: precz odeszła  
Eirene, już jej nigdzie nie odnajdziesz.

PANDION.

Ażaliś przeszedł cały świat?  
Ja go przejdę!  
Muszę odnaleźć kraj jaśni.  
Przełamie wszystkie zapory, aż dojdę  
do czarnych, żelaznych, zawartych wrót.  
Wtedy pięścią rozepchnę wrota,  
i wnijdę olśniony — do słońca.  
Przytlumie głos słabości,  
który mię do was przykuwa i który  
przygłusza woli mej krzyk:  
Odejdę.  
Gdybyś nie ty był...

ARKAS.

Więc mnie nienawidzisz?

PANDION.

Tak.  
Tyś jest złym duchem mego ojca.  
Pehasz go do czynów tych. Budzisz w nim żądze  
władzy.

ARKAS.

Gdyby nie ja, ojciec twój jużby nie był  
królem.

PANDION.

A teraz królem jest.

ARKAS.

Zwycięży

Eumolpa.

PANDION.

I cóż? Zwycięży wszystkich.

I cóż?

Samotny siedzieć będzie na swym złotym tronie,  
samotny i znienawidzony.

ARKAS.

Królem będzie  
niezwyciężonym.

PANDION.

Tak. Niezwyciężonym,  
aż go zwycięży śmierć.

*(Rozwierają się wrota szeroko na gaj i łąkę. Słońce wieczorne wlewa rudy blask swój do izby. Wchodzi Dryas z orszakiem dziew).*

DRYAS.

Przynoszę, bracie, kwiaty. Smutny jesteś?

PANDION.

Przynosisz kwiaty? Pokaż. Cudne kwiaty:  
na każdym błyszczą wszystkie barwy tęczy  
i pachną silnie. Woń lasu i łąki  
rozlała się po izbie, oto cała izba  
wonieje...

*(nagle opuszcza kwiaty na ziemię)*

Siostrze, gdzieś była?

DRYAS.

Z służebniami byłam  
na łące: zbierałyśmy kwiaty.

PANDION.

Widziałś ojca, jak wychodził z dwora?



DRYAS.

Widziałam; stałam właśnie tam, na skraju  
czarnego lasu.

PANDION.

Nic do ciebie nie rzekł?

DRYAS.

Szedł blady, szedł z zaciśniętymi  
pięściami. Milczał. Nas nawet nie spostrzegł.

PANDION.

Szedł sam?

DRYAS.

Szło za nim dziesięciu łuczników.  
Czemu tak pytasz?

PANDION.

Dokąd szedł?

*(niecierpliwie)*

Mów. Powiedz!

DRYAS.

Na lewo skręcił, ku wzgórzom, skąd siny  
ofiarny dym się wznosił.

PANDION.

Skąd się wznosił  
ofiarny dym?! — Butes tam właśnie składa  
objętą na cześć złocistego słońca.  
Butes — królewski brat —

ARKAS.

O czym to myślisz?

PANDION.

Król ojciec blady był i pięść zaciskał.  
A za nim wślad szło dziesięciu łuczników.  
Dokąd poszedł mój ojciec? Mów.

ARKAS.

Ja nie wiem.  
Może w ofercie uczestniczyć chce.

PANDION.

Nie. Kłamiesz.

ARKAS.

Nie wiem, dokąd poszedł król.  
Nie zwierzył mi się.

PANDION.

Kłamiesz i wiesz dobrze.  
On zawsze ci się zwierza. — Od dni paru  
król dziwny był, gdy się doń zbliżał brat,  
mleczal i wargi zacinał, lecz oczy  
mu posepniały i ciemniały groźnie,  
a tlił pod przymkniętymi powiekami  
pożar gniewu. — O siostrze, gdyby to się stało,  
co mi przez myśl przebiegło. Gdyby....  
Tak. Wtedy nie mnie już więzić nie będzie.  
Wtedy zdobędę się na siłę ducha.  
Odejdę!

DRYAS.

Odejść chcesz? Dlaczego?

PANDION.

Muszę!!

DRYAS.

Nie odchodź, smutno będzie tu bez ciebie.

PANDION.

Smutno tu zawsze. Smutek mię przygniata.

DRYAS.

Tu smutku kraj...  
 Zasnuwam się  
 w tęczową mgłę  
 kwiatów i cichych pieśni.  
 Lecz czasem głuchy smutku błysk  
 przebija mgły opone;  
 więc wtedy rzewnie łkam.

PANDION.

Tu smutku kraj.  
 Słuchaj, opowiem ci: Było przed laty.  
 Nad brzegiem stał Erechtej, ojciec nasz,  
 wonczas młodzieńczy, silny, dumny woj,  
 patrzył w sinawą morza toń  
 sokolim wzrokiem.  
 Naraz na nieba widnokregu  
 zaśniły białe plamy, jakby skrzydła  
 ptaków; po chwili rozpoznał  
 czarne sudna, płynące ku wybrzeżom  
 z wzdętymi wiatrem żaglami.  
 Było ich dużo, z dziesięć, może więcej.  
 Erechtej zadał w róg,  
 i wnet się zeszli zbrojni wojownicy.  
 A z okrętów wstąpił na ląd  
 król nieznajomy, z rycerzami swymi,  
 ziemią ateńską zawładnąć chciał.  
 Przeto do walki przyszło: do wieczora  
 trwała potyczka krwawa, mężobójcza.  
 Wielu zginęło wojowników.  
 A kiedy noc nadeszła, poniechali boju  
 i na olbrzymich stosach jęli palić  
 ciała poległych.  
 Tedy Erechtej do nieznajomego

słał posłów, by miał wojsk on jeden  
z nim walczył o władanie.

Zgoda nastąpiła; i z rannem świtaniem  
stanęli dwaj królowie przeciw siebie.

— I zwałił Erechtej rannego przeciwnika  
na ziem.

Wtedy doń przystąpiła złotowłosa  
dziewica, uklękła i błagała  
o życie pobitego, który był jej ojcem.

Erechtej na nią spojrział:

zobaczył oczy, w których lśnił srebrzysty  
blask księżycowych lśnień i jakby pieśń,  
pieśń, która lka, która się żali...

Wolność mu więc darował

Erechtej i odpłynąć dał, a sam za żonę  
pojął dziewczę tę, której na imię  
było Atessa: ona matką naszą.

I wonczas zdało się Erechtejowi

i żonie jego Atessie,

że żywot będzie im się snuć w przyszłości,  
jako smuga tęczowa, jako wieczna wiosna...

A dziś?

Dzisiaj nienawisć gryzie ich obojga,

i także nas, ich dzieci, gniew milczący

i smutek nas przygniata

i żal.

Przeto stąd odejść muszę,

bo tutaj ziemia smutku: wypędzona

stąd radość, a jam młody jeszcze, chciwy

życia, spragnion radości, szczęścia, które

upaja...!

DRYAS.

Zostań, pozostań z nami.

Nie odchodź jeszcze. Nie dziś. Nie wieczorem.

Lękam się zostać sama. Słyszysz?! Słyszysz

daleki szum — złowrogi?

To głuchy loskot morza dolatuje  
 aż tutaj. Morze wszechwładne nadplywa,  
 morze, co brzegi zrywa.  
 Olbrzymia fala potężnieje, rośnie,  
 by wszystko wchłonąć. Nie. Zostań. Nie odchodź,  
 byś nie zatonął.

PANDION.

Nie: kto jest silny, temu nic nie grozi,  
 fala go nie pochłonie, i stać będzie,  
 jak skała! Sam się rzucę w morza wir.

DRYAS.

Nie puszczę ciebie! Zostań.

PANDION.

Kochasz mnie, siostrze? Nie płacz, łez twych szkoda.  
 — Ty drżysz?

DRYAS.

Lękam się. Lękam.  
 Jakiś niepokój wstrząsa moją duszą.

PANDION.

Spokojną bądź. Nic nam nie grozi. Jeszcze  
 zanim noc wzejdzie i zanim rozwiesi  
 na niebie czarne skrzydła, ty w spokoju  
 pójdziesz do swej komnaty, ja w spokoju  
 odejdę. — I ty z twemi dziewczętami  
 dalej snuć będziesz błękitnawe pasmo  
 życia, zbierając kwiaty z łąk  
 i nucąc ciche pieśni. A ja pójdę  
 hen, ku życiu nowemu.

DRYAS.

Ale szczęścia  
 nie znajdziesz. Sławę zdobędziesz i władzę,

świat korzyć będzie się przed twoją mocą,  
ale do szczęścia napróżno ramiona  
stęsknione będziesz wyprężyć, napróżno  
będziesz doń wołał.

*(krótka pauza)*

Wnet przyjdzie jesień — niezadługo.  
Więc niebo posinieje i powiędną kwiaty.  
Więc ziemia na się wdzieje smutne, wdowie szaty.  
Persefoneja zejdzie na dół do kochanka,  
który tam czeka niecierpliwy, tęskny;  
a schodząc z dołu, hen, z daleka  
zanuci przedziwny śpiew  
żegnania:

o zielonej murawie i o kwiatach,  
o czystym, niezglębionym nieb błękiecie,  
po którym czasem przelatują białe  
chmurki, i o świegocie ptaków  
i o drzew szumie...  
Śpiew on odbije się o sine chmury,  
i ciche drżące echo  
dobiegnie do twych uszu,  
tam — gdzieś — w dalekim świecie:  
zasmucisz się,  
i będziesz stał bezczynny,  
i będzie ci już obojętny  
wawrzynu wieniec, zwycięstwo i sława,  
przed duszą stanie ci tęczowa zjawa  
minionych chwil, przeżytych  
pośród ojczystych niw,  
i zatęsknisz za niemi: poznasz,  
że nigdzie, nigdzie nie odnajdziesz szczęścia,  
że nigdzie nie ma takich, jak tu, kwiatów,  
takiego szumu drzew, takiego nieba...

*(pauza).*

PANDION *(cicho).*

Siostro, mówiłaś do mnie. I na chwilę

rozwiął mi się w pamięci krwawy obraz  
tego, co mię otacza. — Teraz znowu widzę  
wszystko wyraźnie.

*(do Arkasa)*

Powiedz, powiedz wreszcie!

Milczysz? — A wszystko wiesz. Tak. Chytry jesteś.  
Lecz wzrok mój wnika do dna twojej duszy.  
Czemu więc milczysz? Żalić trwoga wiąże  
język? Nie śmiesz strasznego wypowiedzieć słowa?  
Mów! — Gardzę tobą, boś jest tchórzem.

DRYAS *(patrząca w gaj)*.

Fokas tutaj przybiega.

PANDION.

Przybiega — stary sługa — widział — czyn zobaczył.  
Wieść nam przynosi.

*(do Arkasa)*

Wieść przynosi: słyszysz?

Milczeć mu każ lub łeb rozplataj, zanim  
wyjawi wszystko.

*(wbiega Fokas zdyszany)*.

PANDION *(potrzęsa nim)*.

Powiedz! A mów prawdę!

Powiedz to, co już wiem; wiem już, bo znam was.  
Mów, co widziałeś?

FOKAS.

Nieszczęście widziałem.

PANDION.

Nie! Nie zwiej tego nieszczęściem. Jedyne  
to się dopełnia, co się spełnić musi.  
Wszak jeden czyn przykuty do drugiego,  
jako żelazne ogniwo łańcucha  
do drugiego ogniwa, i nikt skucia

zerwać nie zdoła. Mów więc, mów: przychodzisz z wzgórza onego, gdzie się palą święte ofiary; mów.

FOKAS.

Stałem na szczycie wzgórza,  
na zielonej polanie, gdzie pośrodku  
widnieje głąz, zasluchan w poszum cichych  
cyprysów. Stałem  
o parę kroków oddalony;  
oto Butes, królewski brat rozniecał  
ofiarny ogień i dym czarnowłosy  
buchnął i wleciał prosto ku błękitom  
bezhmurnym. Cicho było i jedynie  
ogień syczał. A przedwieczne słońce  
grzało. — Aż nagle z oddali żelazny  
szczęk zbroi dobiegł mych uszu. Więc Butes  
wzniósł głowę, wieńcem wawrzynowym strojną  
i zmarszczył brew i wzrokiem, w którym się paliła  
złowroga rubinowa gniewu błyskawica,  
spojrzał, kto to we zbroi śmie wstępować  
na święconą polanę.

PANDION.

To był mój ojciec, prawda? a tuż za nim  
kroczyło dziesięciu łuczników.

FOKAS.

Tak. Z dali już słyszałem  
brzęk strzał w kołczanach ukrytych.

PANDION.

Dalej! Dalej!

FOKAS.

Gdy król dotarł do szczytu, stanął,  
i bracia chwilę patrzyli ku sobie



milcząc, a mierząc się jeno oczyma.  
 Milczeli,  
 lecz z oczu ich były pioruny  
 bezgłośnie. Chwilę panowała cisza,  
 owadów jeno brzęk dzwonił nieśmiały,  
 brzmiał jeno poszept trawy i kwiatów na łące.  
 Naraz Erechtej skinął na łuczników.

PANDION.

Tak jest — znam pieśń tę — skinął —

FOKAS.

Cięciwy zawarczały złowrogo i dziesięć  
 złotych strzał padło i utkwilo w ciele  
 kapłana; a z pod każdej złotej strzały  
 wykwitły róże; kapłan padł na trawę.  
 A krew ciemno-czerwona  
 polala się na szafranową szatę  
 i na ofiarny głaz, i ogień święty  
 — oblany krwią — zasyczał dziko, ostro  
 i zgasł.

PANDION (*powoli*).

I zgasł. Tak. Wiem. To wszystko, jakby  
 kiedyś w śnie już widziałem.

DRYAS (*z towarzyszkami przerażona odeszła*).

PANDION (*powtarza*).

Ogień święcony zgasł, bo krew się nań polala.

(*do Arkasa*)

Milczysz? — Ha! Nie masz co ukrywać teraz.  
 Oto jest świadek.

ARKAS.

Król sam tu powraca:  
 on nam wyjaśni.

PANDION.

Pocóż wyjaśnienia?

To dzień jest: wszystko widzę teraz w złocie  
słonecznem skąpane, w oślepiającym  
blasku. Widzę, że mnie nie wstrzyma nie już,  
i że nareszcie wszystko to zerwałem,  
co mię więziło (*idzie ku wyjściu*).

(*Zastępuje mu drogę wchodzący Erechtej, w purpurze kró-  
lewskiej, za nim dziesięciu łuczników*).

ERECHTEJ (*jest bardzo blady*).

Jest tu gdzie Fokas?

FOKAS.

Oto jestem, królu.

ERECHTEJ.

Idź zaraz do mych wojowników, idź od domu  
do domu. Każę, by się zgromadzili. Wszyscy.  
Czekam na nich.

(*Fokas odchodzi*).

PANDION (*stoi odwrócony, wsparty o węgar, patrzy w łękę*).

ERECHTEJ (*usiada ciężko na ławie królewskiej — do Arkasa*).

Wiedzą tu już?

ARKAS.

Fokas wieść przyniósł.

ERECHTEJ.

Jestem

znużony.

(*pauza*).

PANDION (*w głębi wdziewa hełm, opasuje się mieczem*).

ERECHTEJ.

Arkasie.

ARKAS.

Słucham cię, królu.

ERECHTEJ.

Patrz, czy na szacie mej nie ma — krwi śladów?

ARKAS.

Szata twa purpurowa. Nie znać.

ERECHTEJ.

Prawda.

(pauza).

Smutno mi.

ARKAS.

Nie trzeba nam tu było iść — daleko;  
tam na ojezystych niwach na północy  
radość w powietrzu drży, rozległe pola  
wokół się rozciągają, tam dość było miejsca  
dla ciebie i dla brata twego; tu za ciasno.

ERECHTEJ.

Tam szaro, głucho, wicher, mróz i śniegi.  
Tu błękit. (pauza). — To nie to — starzy jesteśmy,  
już starzy — ty i ja; i widok śmierci  
przeraża nas, i myśl nam w mózg się wwierca,  
że na nas także czas.

(pauza).

Kiedy się zejda wojownicy,  
i gdy im prawdę powiem, patrz w ich twarze,  
a który zblednie na me słowo, zadrży,  
tego mi wskaż: nie chcę mieć wrogów pośród  
moich rycerzy.

ARKAS.

Usłucham cię, królu.

*(pauza).*

ERECHEJ.

Arkasie! *(chwytając go za rękę).*

Gdy tu powracał, w fioletowym cieniu  
lasu trzy Parki obaczyłem — blade,  
z płonącymi oczyma: a na przedzie  
stała ku mnie patrząca

Lachesis:

podniosła dłoń; zgrzyt usłyszałem nożyc...

Gdyby to była właśnie mego życia  
czerwona nić, którą przecięły Parki...

Gdyby i mnie przyszło... — Nie! żyć chcę jeszcze! —

*(pauza)*

On — brat mój — młodszy był odemnie,  
młodszy o dziesięć lat,  
— i już — nie żyw... Kazałem zaraz ciało  
pogrzebać: on tam już — w ciemności,  
przywalon czarnymi grudami  
wilgotnej ziemi.

I czarna ziemia jest na jego twarzy,  
na oczach, wciska się do ust...

— Pamiętam:

Chłopiędem byłem wtedy, znużon właśnie  
wróciłem z łowów pod wieczorem, ojciec  
blady wziął mię za rękę  
i powiódł do komnaty  
i wskazał na maleństwo  
na skórach leżące

— to był mój brat. — „Strzeż go — rzekł ojciec — matka  
skonowała na świat go wydając, moje  
włosy już przyprószone są siwizną,  
tyś odeń starszy o lat dziesięć: strzeż go“.

I ja — przysiągłem brata strzedz. Przysiągłem.

*(pauza).*

ARKAS.

Musiał paść, choćby nawet był bez winy;  
 duch twój drżał przed nim, on hamował twoje  
 zapędy.

ERECHTEJ.

Tak. Masz słuszość. Musiał paść! -  
 Nie myślę, nie. Nie myślę już o tamtej chwili.

ARKAS.

Otoś nareszcie uwolnił się odeń,  
 jak od ciężącej zmory. Teraz wyrusz  
 na Eumolpa, a zwyciężysz.

ERECHTEJ.

Dotąd

w boju z nim zawsze po mej stronie była  
 klęska (*zamyslił się*).

(*powoli*) Usnąć nie mogłem wczora, wstałem z łoża,  
 wyszedłem z dwora.

(*po chwili wahania wybucha*)

Arkasie! Arkasie!

Przez ciemną noc, ponad milczącemi błoniami  
 w powietrzu czarny rydwan pędził,  
 ciągnęły go trzy mleczne rumaki.

A w rydwanie stała Śmierć,  
 z prawicą wzniesioną ku chmurom,  
 w prawicy trzymała płonąca pochodnię.

I rydwan pędził, jak strzała,  
 biegiem szalony,

czerwone skry leciały za pojazdem.

Śmierć na mnie pochodnią — skinęła.

(*pauza*)

I już mi znany mój los.

Słońce zachodzi;

tam w dali tonie w bezbrzeżnej topieli  
 morza, morze się dzieli,

by wchłonąć w siebie rozognioną,  
syczącą kulę.

A może jutro ten czerwony blask  
ginących słońca promieni  
padnie na martwe popioły  
i na dogasający stos.  
Już oto mi znany mój los.

ARKAS.

I czyny, któreś spełnił,  
i które spełnić chcesz — daremne?

ERECHTEJ (*szept*).

Ananke silniejsza, silniejsza.

ARKAS.

Więc za miecz ostry chwyć  
i w pierś wbij chłodną stal,  
duszę z ciała wypędź,  
i zgiń.

ERECHTEJ (*szept*).

I zaśnij, śnij;  
w niebytu śnie utonę.  
(*porywa miecz*).

ARKAS.

Stój!! (*śmieje się*). Zbudź się, królu, zbudź!  
Zwycięstwo u twych wrót  
kołacze silnie: słysz!  
Na wroga! Na bój! Do broni!

ERECHTEJ.

Zwycięstwo jakie?

ARKAS.

Ciężki sen  
przygniatał twoją pierś i ducha

przez chwilę:  
zbudź się z ciężkiego snu.

ERECHTEJ (*wznosi miecz, z ponurą siłą*).

Budzę się! budzę! otwieram  
oczy: Na bój! Los moim wrogiem!!  
Przecucia miałem i sny smutne.  
Złym snom kudlate łby wraz utnę,  
jak ongi Persej Meduzie.  
Na bój! Los moim wrogiem!  
Do boju wyzywam cały świat!  
Hej wy bogowie na Olimpie!  
Wyzywam was do boju, ja, Erechtej,  
ateński król: zstąpcie z wspaniałych komnat,  
z marmurowego dwora, zstąpcie ze złotych gwiazd!  
— A jeżeli zstąpić nie chcecie,  
ja pójdę do was,  
na szczyt Olimpu śpiącego we mgłach,  
z wojownikami mymi pójdę,  
przelamię czar,  
i zburzę wasz biały, błyszczący dom,  
tam dojdę, dokąd nigdy jeszcze ludzka  
stopa nie śmiała dotrzeć. Wy bogowie,  
jak trupy pobledniecie. I zadrży w posadach  
świat cały. Rozerwę żelazne pęta  
przykutego do skały Prometeja  
i odgonię sępy żarłoczne.  
A wtedy czarna noc i biała groza  
nadpłynie i przeleci nad bogów głowami,  
wieczna noc lodowata: słońce zgaśnie,  
i gwiazdy z hukiem potoczą się w bezdeń.  
I wszystko zginie, a ja pozostanę  
zwycięzca.

ARKAS.

Królu, rzekłeś straszne słowo.



ERECHTEJ (*głucho*).

Wezwałem świat do boju, los! jeśli polegnę,  
śmierć będzie dla mnie sławą.

(*pauza — wyciąga ręce dokoła siebie — ciszej*)

Pusto wkoło:

Sam jestem, jakbym już zwyciężył wszystko,  
jakby wszystko poległo już z mej dłoni...

(*pauza*)

Przywołaj żonę mą.

ARKAS (*odchodzi; po chwili wraca; z nim Atessa*).

ATESSA.

Kazałeś mię przywołać?

ERECHTEJ.

Tak. — Znużony jestem,

barki mi ciążyą i głowa, i chciałbym  
odpocząć, usnąć; lecz teraz — nie mogę.

Usiądź tu, przy mym boku. Czekaj ze mną.

Zwołałem wojowników mych do dwora.

Mam im oznajmić wieść, wieść wielkiej wagi.

(*po chwili*)

O nic nie pytasz?

ATESSA.

Nie. O nic nie pytam.

Usiadłam oto, jako rozkazałeś,

czekam, posłuszna — jako rozkazałeś.

ERECHTEJ.

Nie pytasz, co to rzec chcę wojownikom?

ATESSA.

Milczę i wiedzieć nie chcę.



ERECHTEJ.

Żali mi życzysz źle?

ATESSA (*patrzy nań z nienawiścią — po chwili*).

Los twój mi obojętny, jak los innych.

ERECHTEJ (*zadumał się*).

Wiem to: zachodzi już słońce naszego życia.

Cienie się stają długie i ciemnieją.

Wieczór zapada. Mgła pamięć zasnuwa,  
pamięć minionych dni, dawne wspomnienie.

I obey sobie jesteśmy, dziś, kiedy  
błękitny smutny mrok starości rzucił na nas  
swoją gęstą kotarę, co tak cięży...

Był czas, gdy nas wiązała miłość.

ATESSA.

Był czas —

ERECHTEJ.

Był — i przeminął — chyżo,  
jak mewy lot nad morzem,  
i już ledwie pamięcią dnie dalekie  
dosięgnąć mogę.

ATESSA.

Tak. Przeminął czas on.

I jeno czarna, lodowata pustka  
stała pomiędzy,  
czarna i lodowata i niezapełniona  
otchłań, której dna obaczyć nie mogę,  
choć uważnie patrzę i wzrok mój natężam.  
I ja dziś tobie obca, i tyś mi jest obey,  
jak gdybym ciebie nie znała.  
Więc dziwno mi, gdy wspomnę czas miniony.  
Sami jesteśmy dziś, choć siedzim oto  
tuż obok siebie.

ERECHTEJ (*smutnie*).

Dzisiaj mi to mówisz?

Dziś właśnie?

ATESSA (*szydlerczo*).

Drżysz? Więc właśnie dzisiaj chciałbyś  
odnaleźć przyjaznego ducha,  
by się oń oprzeć? Nie, mężu. Zapóźno.  
Dzisiaj zapóźno (*zacięła wargi*).

(*pauza*)

Wiatr wieje. Jesień. Zwiędło moje ciało.  
Gdy ciało moje nęciło twe zmysły,  
gdy oko moje błyszczało płomieniem,  
wtedyś mię brał i kochał.  
Dzisiaj, gdyś wyssał już z żył moich wszystką  
gorącą krew,  
dzisiaj ci sługą jeno jestem, każesz  
mię strzedz, bym z dworu twojego nie zbiegła.  
Więc będę sługą i nadal,  
i ty mi się nie zwierzaj, bo nie jestem  
ci przyjacielem, ni druhem, lecz — sługą.  
Duszą odbiegłam już od żywych świata,  
daleko, po za nim ma dusza lata,  
daleko od zwad waszych wiecznej burzy,  
i rozmawiam z przodkami mymi, którzy  
z bogami wraz mieszkają na Olimpie;  
i dusza moja dzisiaj gardzi tobą,  
i nie zna ciebie.

ERECHTEJ.

Masz dzieci.

ATESSA.

Mam dzieci.

Przez dzieci moje żyję jeszcze.

ERECHTEJ (*patrzy na nią, chwilę, półgłosem*).

Żono,

zraniłaś mię boleśnie.

*(po chwili, silnie)*

Lecz szydę z ran takich.

*(Zebrali się wojownicy ateńscy).*

*(Milczenie).*

NAJSTARSZY Z WOJOWNIKÓW.

Erechteju, królu,

zwołałeś nas, więc przyszlśmy: słuchamy.

ERECHEJ.

Przyszliście? I jesteście wszyscy?

WOJOWNICY.

Wszyscy.

ERECHEJ.

Zwołałem was. Zebrani tu siedzicie.

Słuchajcie.

Butes, mój brat, tajemnie uknuł spisek na moje życie, władzy mi zazdrościł, sam chciał tu osiąść na królewskim dworcu i wam panować, jako król i wódz.

Więc z dziesięcioma łucznikami poszedłem na polanę świętą, tam na szczycie wzgórza i na nim kazałem wykonać wyrok śmierci. Bowiem na śmierć zasłużył.

*(milczenie)*

Oto, co miałem wam obwieścić.

NAJSTARSZY Z WOJOWNIKÓW *(po chwili)*.

Królu, panujesz nad nami

już wiele lat i zawsze

dotąd twe czyny były prawe.

Przeto wierzymy ci, żeś i tym razem wykonał to jedynie, co uczynić kazał sprawiedliwości głos;

wierzimy, że nie ślepe podejrzenie  
i nie gniewu gorący, dziki popęd  
kierował dłonią twą przy onym czynie.

PANDION (*występuje na przód*).

Starcze, wstydź się!

Włosów twych srebro i twarz pomarszczona  
świadczą, że już przeżyłeś lat niemało,  
że niezadługo życie to opuścisz  
i zejdziesz w snu krainę. —  
Żali wciąż jeszcze śmierć ci taka straszna,  
że oto płaszczysz się przed — bratobójcą?!

ERECHTEJ (*powstał*)

Co to?

Kto wyrzec śmiał to dzikie i zuchwałe  
słowo?

PANDION.

Ja! Jam je wyrzekł, syn królewski, Pandion.

ERECHTEJ (*podchodzi ku niemu, patrzy mu w twarz*).

(*cisza*)

Synem mi jesteś: ono powiedzenie  
niebaczne pozostawię w niepamięci.  
Teraz wyjdź z izby.

PANDION.

Ja o przebaczenie  
nie proszę ciebie, ojcze. Co raz powiedziałem,  
tego nie cofnę, choćby wszechpotężny,  
złoty piorun miał mię na ziem powalić  
w tej chwili, bowiem rzekłem prawdę.

ATESSA.

Synu, zamilez.

PANDION.

Nie, matko. Wiem, co mówię. Już dziecięce lata minęły.

ERECHTEJ.

Dzieckiem już nie jesteś,  
aleś jest moim synem. Ja, twój ojciec  
i król nie chcę z ust twoich słyszeć choćby  
prawdy! Nie chcę!

PANDION.

O to nie pytam, żali chcesz!

ERECHTEJ.

Milez! Zakazuję mówić!

PANDION.

Powiadam: czyn twój był czynem zbrodniarza!  
Muszę to rzec, bo w duszy mej kotłuje  
uczucie wzdargy, odrazy.  
Butes, twój brat, był czysty i bez winy,  
władzy królewskiej nigdy nie pożądał.  
Działaleś w zaślepieniu, teraz sam to czujesz,  
gdy minął pierwszy gniewu szal:  
Krew zczerwieniła twe szaty królewskie,  
czoło i obręcz złoty,  
krew zabitego cięży na twym duchu,  
bo wiesz, żeś jest zabójcą.

*(do wojowników)*

Idźcie tam na szczyt świętego pagóra,  
popatrzcie na ofiarny głaz, a zobaczycie  
krwi ludzkiej ślady na białym kamieniu  
i niedopaloną ofiarę,  
i usłyszycie w drzew poszumie głuchą  
skargę duchów, że pohańbiono święte  
miejsce.

ERECHTEJ.

Dosyć!! Precz z moich oczu!!

PANDION.

Wypędzasz mnie? Nadeszłaż wreszcie chwila?

ERECHTEJ.

Precz z dwora, z kraju precz!!

PANDION.

Wyganiaasz mnie? Za to ci dzięki składam,  
ojcze.

ERECHTEJ.

O dzięki tve nie stoję. Precz mi z oczu,  
bo włócznią rzucę, do ściany przybiję!

PANDION.

Czekałem już tej chwili. Oto patrzaj:  
Nadziałem helm i przypasałem miecz mój.  
Odchodzę; wolny. — Bywaj, ojcze. Bywaj (*odszedł*).  
(*Cisza. Wieczór zapada.*)

(*Służba dorzuca drewna; ogień znów jaśniejszy zapłonął.*  
*Wszyscy siedzą w posępnej zadumie.*)

ERECHTEJ.

Cóż nie mówicie nic? Wszak zawsze gwarno  
bywa w mym dworze, kiedy zagościecie.  
Wina podać!  
(*Służba wnosi czary i kruże. Piją.*)

ERECHTEJ (*po chwili*).

Odrzućcie precz ciemne, ponure myśli.  
Gdzie pieśniarz on, który już tyle razy  
uczę nam rozweselał, grając na kitajrze  
i śpiewając o bohaterskich czynach  
półbogów?

FOKAS.

Pieśniarz, królu, gdy go doszła  
wieść o śmierci Butesa,  
opuścił dworzec: podniósł pięść ku sinym  
chmurom i milcząc odszedł.

*(długa pauza).*

ERECHTEJ.

Tamci mię potępiają: syn mój i ten pieśniarz.  
Więc teraz mówcie wy, wy mię osądźcie,  
wy,  
z którymi tyle przewalczyłem bojów,  
w jednym szeregu piersi nadstawiając  
na pocisk śmiertelnych wrogich strzał.  
Osądźcie:  
Jeżelim winien zbrodni, weźcie władzę  
królewską w wasze ręce, wam ustąpię,  
odejdę precz.

*(milczenie).*

ERECHTEJ *(powstał, olbrzymim, drżącym głosem).*

Milczycie ?

NAJSTARSZY Z WOJOWNIKÓW.

Milczeliśmy;

lecz wierz nam, królu, my ci nadal wierni,  
jak dotąd.

ERECHTEJ.

Dzięki wam.

Więc niechże się rozplynie wreszcie  
ta gęsta, czarna mgła, która zawisła  
pomiędzy nami, i co zanurzyła  
nam dusze w niepewności. Pijmy!

*(podnosi czarę).*

ARKAS.

Pochód się jakiś zbliża do dworzyszcza.  
*(U wrót staje Eumolp, król z Eleusis, z nieliczną drużyną).*  
*(Milczenie).*

ERECHTEJ *(postąpił parę kroków).*

Czego żadasz?

*(cisza)*

Czego żadasz? -- Stoisz u progu dworca  
 i milczysz? Wnijdź do wnętrza.  
 Gościnne znajdziesz w domu mym przyjęcie:  
 Oto niepomny będę dawnych walk i swarów.  
 Dom mój otwarty i dla tego także,  
 który był wczoraj wrogiem mym. Więc proszę:  
 Wnijdź.

EUMOLP *(silnie).*

Nie przejdę progu domu twego nigdy.

*(cisza).*

ERECHTEJ.

Mowa twoja jest dla mnie dziwnie ciemna,  
 czarna, jak noc bez gwiazd i bez miesiąca.  
 Przeto mi drogę wskaż pośród bezdroży.

EUMOLP.

Erechteju,  
 szedłem do ciebie na gościnę, szedłem  
 z słowem przyjaźni, pojednania, aby  
 pokój zawrzeć, z prawicą wyciągniętą  
 szedłem ku tobie, by dłoń twą uścisnąć...

ERECHTEJ.

Więc wnijdź. Mam oto słodkie mocne wino,  
 błyszczące w czarach ponętne,  
 miejsca jest dość w mym dworze, by pomieścić  
 ciebie wraz z twoją drużyną.



EUMOLP.

Rzekłem :

Nie przejdę nigdy progu twego domu.

ERECHTEJ (*gniew w nim się budzi*).

Więc jaśniej powiedz: Pocoś tutaj przybył?  
Cierpliwość ma rwie się, już się przelewa  
pełna czara! Odpowiedz.

EUMOLP.

Gniew cię porywa, gdy przeczuwasz oto,  
że mi wiadoma prawda, żem — widzący;  
drżysz trwogą, złością drżysz, iżeś nie zdołał  
ukryć prawdy — dla siebie, jak skarb złoty,  
żem umiał się uchować od kłamstwa ślepoty.

Gdym tutaj szedł, po drodze obaczyłem  
biały ofiarny głaz, oblany krwią  
zakrzepłą,

ale nie krwią zwierzęcia, a człowieka.

Trupa nie było już, lecz mi wiadomo,  
kto zginął z twojej dłoni.

Więc progu twojego nie przejdę, bowiem  
zabójcą jesteś, zabójcą  
brata i ofiarnika.

Przybyłem tu, by jeno spojrzeć w twarz twą,  
by ci popatrzeć w oczy, i by rzec ci,  
że nie chcę z tobą zawierać pokoju,  
z tobą, ze zbrodniem. Bój ci wypowiadam  
na nowo! Bój na śmierć i życie!

*(odwraca się do odejścia).*

ERECHTEJ.

Jak śmiesz?! Kto jesteś?!

EUMOLP.

Królem jestem w Eleusis, miano moje  
Eumolp, jeżeli wypadło z pamięci.

*(pięść wzniośł ku niebu)*

Odchodzę już *(odszedł)*.

*(pauza)*.

ERECHTEJ *(zrywa się, ryczy jak zwierz raniony)*.

Dziry! Dziry! podajcie!!

*(podbiega — nagle go siły opuszczają; staje)*

Cóż to on mówił? — Kto to był?

*(z nienawiścią, półgłosem)*

To on! To on! Nie plunąłem mu w twarz,  
czaszki nie rozplątałem: był bezbronny...

Jutro ze świtem wszyscy wyruszamy!

*(pauza)*

Cóż nie pijecie? Pijcie wino! pijcie!

*(półgłosem)*

Sił mi zabrakło nagle, gdym chciał dziry  
podnieść i rzucić za nim. Ręce mi obwisły.

Moc w nim jest jakaś dziwna, ducha moc —

*(opamiętał się)*

Nie! Ja zwyciężącą będę!

Zabić go muszę!!!

Hej tam! Wróżbitę mi przywołać! Zaraz!

*(Wchodzi wróżbita).*

WRÓŻBITA.

Zanim twe sługi dojsć zdołały do mnie,  
by mi obwieścić rozkaz twój, przyszedłem:  
wiem bowiem, że mię wołasz.

ERECHTEJ.

Idź zaraz na szczyt wzgórza, patrz na niebo  
zachodem złotawe,  
patrz na lot chmur i ptaków,  
byś mógł odpowiedź dać me zapytanie.

WRÓŻBITA.

Już byłem na szczycie pagóra

i wzniosłem wzrok ku niezgłębionym wyżom:  
 orłów ujrzałem, dwa królewskie ptaki  
 ku cichym wzniosły się błękitom  
 i wciąż leciały wyżej, wyżej,  
 aż znikły tam, gdzieś w dali.  
 Jakie twoje pytanie, królu?

ERECHTEJ.

Eumolp, co włada na dworcu w Eleusis,  
 obraził mię, króla, zuchwałem słowem.  
 Zabić go przeto muszę!!

(*pauza*).

WRÓŻBITA (*przymyka oczy, naraz zbladł*).

Panie, przebacz mu jego słowa, przebacz.

ERECHTEJ.

O radę ciebie nie pytam.  
 Chcę, byś mi odpowiedział na pytanie.  
 Wiem, że pan mórz, Posejdon, moc mu dał  
 czarowną. Kiedym włócznie wznosił, by rzucić  
 za odchodzącym, stanąłem: i bezwład  
 chwycił me ramię, i włócznia wypadła  
 na ziem. — Co mam uczynić, by czar złamać?

WRÓŻBITA.

Królu, błagam, nie pytaj.

ERECHTEJ.

Oto pytam!

Mów. Rozkazuję. O cześć moją idzie.

WRÓŻBITA (*milczy*).

ERECHTEJ.

Co mam uczynić, by on czar przelamać,  
 i by zabić Eumolpa, by zobaczyć  
 jego martwego u mych stóp.

WRÓŻBITA.

Nie pytaj!

Nie pytaj (*skulił się, głowę ziemi dotyka*).  
(*Milczenie*).

ERECHTEJ.

Choćby tu szło o moją władzę, o to,  
co mi najdroższe. Mów!

WRÓŻBITA (*podniósł się*).

Więc rozkazujeś?

ERECHTEJ.

Rzekłem. Muszę wziąć pomstę, zabić wroga.  
Przysięgam —

WRÓŻBITA.

Nie przysięgaj!

ERECHTEJ.

Mów więc.

WRÓŻBITA.

Mówię.

Słuchajcie!

(*mówi powoli, donośnie, wśród ogólnego milczenia*)

Bóg-Słońce gniewny jest na ciebie, królu,  
iżeś pokalał jego ołtarz-głaz  
krwią brata ofiarnika. Żąda, abys  
w ofierze złożył mu tam na ołtarzu  
życie twej córki; a wtedy zwycięstwo  
twem będzie, zginie Eumolp.

Jeśli ofiary tej nie zechcesz ponieść,  
klęska ci będzie towarzyszką wierną  
do twego zgonu (*odchodzi*).

(*Ogólne milczenie*).

ERECHTEJ (*powstał*).

Gdzie ma córka?

OKRZYK ZGROZY (*wśród obecnych*).

Królu?!

ARKAS.

Choć zawsze w tobie żądzę czynu budzę,  
dzisiaj mówię: nie czyń tego, nie wierz  
w brednie wróżbity.

ERECHTEJ.

Córki mej nie zmuszę,  
by szła na śmierć; a zapytam jej jeno,  
czy zechce zginąć, aby cześć ojcowską  
ocalić, by jej ojciec mógł zniewagę  
pomścić i śmiało znów popatrzeć światu  
w twarz.

Już dużo lat walczę z Eumolpem, nigdy  
zwycięstwo jeszcze nie było po stronie  
mojej. I już chciałem z nim pokój zawrzeć;  
lecz on mię zelżył: przeto bój rozpocznę  
na śmierć i życie, nie ustąpię z pola,  
aż legnie on lub ja. O cześć mą idzie!  
Służba!

Na wszystkie strony rozejść się i szukać  
mej córki.

(*Służba się rozchodzi*).

(*Milczenie*).

ATESSA (*nagle*).

Gdzie ona? Mówcie! Mówcie!!  
Czyście jej nigdzie nie widzieli?

(*do męża*)

Może ty potajemnie  
już przedtem chwyciłeś ją w swoje kleszcze?  
Ha, mów!!

Córko! Córko!... (*chce odbiedz*).

ARKAS.

Królowo, stój: twa córka  
odeszła stąd do lasu, zbierać kwiaty,  
odeszła z służebnemi, i o niczem jeszcze  
nie wie.

ATESSA *(z błyskiem nadziei)*.

Uszła, powiadasz? uszła  
przed katem?... *(boleśnie)* Nie. Nie wierzę.  
*(milczy, jakby nadśluchiwała; nagle drgnęła, zeszywniała;  
tajemniczo)*

Przed chwilą  
przez kryształową błękitną toń  
przeleciał do mnie straszny jęk  
— ostatni — Słyszałam!

Ja to słyszałam: Matka!  
Matka się nigdy nie myli.

*(wszyscy milczą przerażeni)*.ATESSA *(jęcząc)*.

Jęk usłyszałam, przedgonny jej jęk,  
płynął przestworem i do moich uszu  
doleciał...

*(wchodzą służebne same)*.

ERECHEJ.

Gdzie wasza pani?

SŁUŻEBNE.

Szukamy jej po lesie;  
nie mogłyśmy odnaleźć.  
Może wróciła do dwora.

*(wracają służowie)*.

ERECHEJ.

Znaleźliście?

SŁUDZY.

Nie, nigdzie, królu.

ERECHTEJ.

Więc ktoś ją ostrzedz śmiał, a ona trwożna się skryła. Kto śmiał?

JEDEN ZE SŁUG.

Oto tutaj biegnie  
jeszcze jeden ze sług:  
snać zdołał znaleźć ślad.  
(*wbiega sługa*).

ERECHTEJ.

Mów, co masz rzec?

SŁUGA.

Oczy przymykam i znów widzę obraz  
straszliwy. Królu, wyrzec nie śmię.

ERECHTEJ (*szarpiąc go*).

Powiedz!!!

ATESSA (*słucha uważnie*).

SŁUGA.

Pobiegłem do polany, pośród której  
stoi głaz-oltarz, kędy przed wieczorem  
padł martwy brat twój.

ERECHTEJ (*niecierpliwie*).

Cóż tam obaczyłeś?!

SŁUGA.

Widziałem na trawie wśród kwiatów  
leżące białe ciało w krwi czerwonej,  
jak na kobiercu z róż świeżo rozkwitłych:

śnać rozszarpane przez dzikiego zwierza.  
Ciało — twej córki.

*(milczenie).*

ATESSA.

Ha! Ha! Widziałam *(jęk)*. Widziałam w duchu.  
Słyszałam jej ostatni jęk,  
ostatni krzyk,  
bolesne z życiem żegnauie...  
Widziałam skrwawione ciało...

ERECZTEJ *(ponuro)*.

Jam nie jest winien tej krwi.

ATESSA.

Nie — ty — nie winien — nie.  
Nie ty — nie ty — nie ty —  
— Pragnałeś wszak jej zgonu!!  
przed chwilą to mówiłeś:  
oto świadkowie.  
Więc pragnienie twe spełnione:  
tam leży na trawie wśród kwiatów —  
*(na chwilę zamilkła — potem wybucha)*  
Hej!  
Więc wznies ku niebu zwycięstwa krzyk  
głośny,  
by cię usłyszeli w Olimpie!  
Wszak radość twoja szalona!  
Więc wznies ku górze ramiona  
i ciesz się! i ciesz się!  
Uczę przygotuj:  
niech leje się wino strugami.  
Uczę przygotuj,  
sproś na nią cały świat,  
by się weselił wraz z tobą!  
I gwarno będzie w twoim dworze,  
i śpiewnie będzie i dźwięcznie



w rozległych izbach: popłynię  
 radosne kitajr dzwonięcie,  
 i śpiewy zabrzmia  
 o bohaterskich czynach  
 półbogów, twoich przodków...  
 Lecz nagle staniecie wszyscy,  
 staniecie w niemem przerażeniu:  
 W czarach złocistych miast wina  
 obaczycie krew czerwoną,  
 wino w czarach w krew się przemieni!  
 Więc pobledniecie.

A ja

— ja — matka — wejdę do izby,  
 do grona uczujących,  
 i stanę przed twem siedzeniem,  
 stanę jeno milcząca,  
 potężna tem mojem milczeniem.

I biesiadnicy zdziwieni  
 popatrzą na ciebie bladego,  
 jak będziesz drżał.

I będą stali bez ruchu.

Cisza się swą z mgieł tkaną  
 rozsnuje nad wami. I lęk  
 duszami owładnie. Lodowy  
 dreszcz was wszystkich przebiegnie.

A wtedy ja zawołam:

*(krzyk)*

Gdzie dziecię moje?!!!

*(milczenie).*

ERECHTEJ *(cicho).*

Niewiasto — żono — żal mi ciebie.

ATESSA.

Ciebie o żal nie proszę.

ERECHTEJ (*cicho i miękko i szeptem prawie*).  
 Atesso, smutek i mię przygiął k'ziemi,  
 podaj mi dłoń, pójdziemy dalej — razem.

ATESSA (*milczy*).

ERECHTEJ (*twardo do swoich*).  
 Jutro, nim słońce się wychyli  
 z po za porannych mgieł, ruszamy  
 na Eumolpa.

ATESSA.

Wyprawać się poszczęści: wszakże uczyniłeś,  
 jak ci rozkazał wrózek.

ERECHTEJ (*zamysłon do sługi*).

Jak to rzekłeś?  
 Gdzie odnalazłeś poszarpane ciało?

SŁUGA.

Na wzgórzu świętem, na polanie, kędy  
 stoi ofiarny głaz.

ERECHTEJ.

Gdzie stoi — głaz — ofiarny —  
 (*tonie w zadumie — skupił myśli*).

Jutro nim słońce się wychyli  
 z po za porannych mgieł, ruszamy.

ATESSA (*głucho*).

Kłątwa za tobą kroczy.  
 Moja kłątwa, kłątwa matki.  
 Zamknij oczy. Zamknij oczy.

ERECHTEJ.

Drogi mi nie zagrządzaj.

## ATESSA.

Idź. Idź. Oto jest wolna droga.  
 Wyrusz na wroga!  
 Ale się nie oglądaj po za siebie,  
 bo tam za tobą idzie  
 w szarej i długiej szacie  
 kłatwa moja — i jęczy;  
 a oczy jej piorunne:  
 gdy spojrzy, zgniata w pył;  
 a włosy jej — to węże,  
 czarne, śliskie, świszczące;  
 głos jej zwiastuje zgon —  
 duszy!!

*(jękła, chwieje się, bladea jak śnieg; staje oparta o ścianę,  
 nieruchoma).*

*(Wchodzi Pandion w okrwawionej zbroi).*

PANDION *(postępuje ku ojcu, staje, blade, ponury).*

Zwycięstwo!

Ojcze, tyś mię wypędził z swego dwora,  
 jednak powracam, aby ci rzec słowo,  
 które rozjaśni twe oblicze błyskiem  
 radości: wróg twój zginął, martwy leży  
 tam, na rozdrożu, w piersiach okrwawionych  
 tkwi miecz stalowy; gdym szedł zamyślony,  
 on na mnie natarł z okrzykiem: „Tyś synem  
 mojego wroga, z którym rozpocząłem  
 walkę na śmierć i życie“. — Jam się bronił,  
 lecz dla pozoru tylko, bo pragnąłem  
 śmierci, poznawszy, że nie ujdę temu,  
 co mi znaczone. Przypadek jest ślepy:  
 przypadek zechciał, żem mieczem zawadził  
 i wepchnął nie chcąc stal w pierś przeciwnika.  
 Cofnąłem dłoń. Zapóźno: Eumolp padł. Skrwawiona  
 zbroica moja: ciesz się, ciesz!!

*(rozgląda się)*

Milczycie?

Więc i w was upadł przerażenia grom?!  
czyżby i wam błysnął piorun poznania?!

*(jakby do siebie)*

Kiedym zadawał mu śmiertelny cios,  
dusza moja drętwiała:  
zdawało mi się, że pod stopą złom  
skały rozpada się, i ja, com stał na szczycie,  
padam w bezdenną czeluść, która się rozwarła  
przedemną; wtedy — wszystkie sny złociste  
o kraju szczęścia — młodzieńcze i czyste  
runęły, w jednej chwili, w ciemń nieznaną...  
I gdym zobaczył trupa leżącego  
u stóp mych, w kurzu, we krwi,  
przejrzałem, że zwycięża zawsze ciemń, że zawsze  
słoneczność musi paść, że coraz krwawsze  
będą zwycięstwa przemocy; sam do nich  
rąk przyłożyłem i przykladać będę.

*(pauza)*

*(przygnębiony milczeniem obecnych, woła)*

Zwycięstwo! Zwycięstwo!  
Wróciłem, ojcze, i już tu zostanę:  
poznałem, że nie zdolny jest do wzlotu.

*(szepce drżącym głosem)*

Za jedno biedne zmarnowane życie  
modły do bogów wzniesicie, do Olimpu,  
abym rozpaczą niemą pokonany  
nie zerwał sam błękitnych Parki nici...

*(pauza)*

Wróciłem i zostanę.

*(pauza).*

ARKAS.

Tam woje z Eleusis  
zbliżają się.

ERECHTEJ.

Pomścić chcą śmierć swojego  
króla. Imać się broni! Zawrzec wrota!

PANDION (*zrywa się*).

Z Eleusis? Wojownicy? Tutaj idą?!

(*z nagłym postanowieniem*)

Bywajcie! Żyćcie dalej! Upajajcie  
się waszem szczęściem. Bywajcie. Bywajcie.

(*wybiega; głos jego ginie w oddali*).

ERECHTEJ.

Dokąd on odbiegł?

ARKAS.

Za nim biedz! Oszalał!

Sam jeden rzuca się na wroga. Chyżo,  
byśmy za późno nie przybyli.

ERECHTEJ.

Za mną!!

(*z wojami wybiega*).

ERECHTEJ (*woła za sceną*).

Stójcie! On jeden! Was setki! To syn mój!

Wstrzymajcie ciosy! Oto ja! Ja król!

Sam oddam się wam! Będę wam niewolnik!

Stójcie!!!

(*nagle słychać straszny, zwierzęcy krzyk — potem cisza*).

ERECHTEJ (*wbiega, błędnie patrzy wkoło; zrzuca dyadem;  
rozdiera szatę zwierchnią — stoi skulony*).

(*Za sceną szcęk zbroi walczących wojsk*).

(*Ateńczycy walcząc cofają się do wnętrza izby, parci przez  
eleuzyjskich rycerzy*).

(*Nagle rozbrzmiewa głos Atessy*).

## ATESSA.

Stójcie!!! (*stanęli*).

Stójcie!! Nie lejcie krwi napróżno.

(*cisza — ona mówi nawpół śpiewając, zaziemskim głosem,  
jakby śpiewała hymn, wielki hymn boleści*)

Po mleczej drodze gwiazd

kroczy moja dusza.

Już dawno odrzuciłam precz

wszelkie pragnienia.

I lecę.

I z góry patrzę ku wam.

I już was nie poznaję.

I lecę (*podnosi ramiona*).

Ręce nad wami wznoszę

I mówię do was:

Niech pokój was połączy

bratersko

z tymi, których zowiecie

wrogami:

odrzućcie precz

zabójczą broń.

Zerwijcie z drzew

zielone, oliwne gałązki,

i wnieście je ku niebu

wysoko, by bogi widziały,

że oto ukończony bój

i że Eirene wam pania.

Niech pokój was połączy

bratersko. Wszyscyście — braćmi:

Bowiem was wszystkich ściga

śmiertelnie blada boleść,

każdego raz — dopędzi,

bo boleść biegnie chyżo,

każdego z was przygniecie,

przygniecie — do ziemi — do ziemi.

I wtedy już nie zrozumiecie

pożądań waszych i walk

z ubiegłych życia chwil...  
 I będziecie spokojni, jako ja...  
 Cisi bądźcie, słuchajcie  
 radosnej gęźby szumu drzew,  
 słuchajcie,  
 jak się raduje świat dokoła was...  
 Słuchajcie.

Po srebrnej strudze miesięcznego światła  
 i przez tęczowe drogi  
 tajemnic przesłam,  
 widziałam dna najgłębszych  
 otchłani:  
 a wiodła mię przedemną idąca  
 boleść...  
 I wyzbyłam się wszystkiego,  
 wszystkiego...

*(Na marach wnoszą dwa martwe ciała: Pandiona i jego siostry, stawiają nosze na środku izby — pauza).*

ATESSA *(cichszym, zmienionym głosem).*

Boleść mię wiodła: teraz — przystanąła,  
 przytuliła się do mnie,  
 ustami u ust przylgnęła  
 i została przy mnie — na zawsze.  
 Ona mi siostra ukochana  
 i wierna,  
 ona jedna została,  
 i pochwyciła mą znużoną duszę  
 w objęcia swoje...  
 I przycisnęła mię mocno...  
 Próżno szukam oparcia:  
 z boleścią mą lecę przez nicłość,  
 lecę, wiecznie tak gnana.  
 I nie mogę odnaleźć krainy  
 ciszy... *(umilkła).*

WOŁANIE (od morza).

Erechteju! Erechteju!

ATESSA (*idzie powoli, powoli ku trupom dzieci; pochyla się nad nimi i upada*).

---

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63











F  
5058